



„GLOB”
SPÓŁDZIELNIA PRACY

665

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53
tel. 813 42 34 tel./fax 813 44 95

PRZEKRÓJ
31-012 KRAKÓW
ul. Reformacka 3

Nr **12** **22** dn. **03-98**

KURIER WARSZAWSKI

**Teatr Polski świętuje 85 lat! •
Na jubileusz: „Zemsta” w doborowej
obsadzie • „Semiramida” w systemie
oszczędnościowym • Podleś i Kurowska
– duet marzeń i snów...**

WARSZAWSKI TEATR POLSKI ma już 85 lat! Bodaj tylko Waldorff jest od niego starszy, ale i On nie pamięta inauguracyjnej premiery, jako że miał wówczas zaledwie trzy lata i wieczorami jeszcze nie wychodził z domu. Ja zatem przypomnę, że dano wówczas „Irydioną” Krasieńskiego w reżyserii samego twórcy teatru i dyrektora, Arnolda Szyfmana, który zresztą później bardzo rzadko już parł się reżyserią, poświęcając się głównie kierowaniu swą ukochaną sceną. A prowadzić samemu prywatny teatr, w dodatku teatr na znakomitym poziomie – to był ewenement na skalę europejską! Chyliły się ku upadkom sceny miejskie i państwowe, a jego teatr trwał; dyrekcyjną działalność Szyfmana przerywały jedynie wojny – pierwsza i druga – no, a potem, już całkiem zdecydowanie, przerwała PRL. I to dwukrotnie: najpierw w roku 1949, kiedy to minister Sokorski robił socrealistyczną „rewolucję kulturalną”, a potem, gdy w 1955 przywrócono Szyfmanowi dykcję na fali przedpaździernikowej odwilży, po dwóch sezonach znów odsunięto go na boczny tor. W tych dwu sezonach zdążył jednak wystawić pierwsze w PRL Mickiewiczowskie „Dziady”.

Zasługi teatru Szyfmana dla kultury polskiej są niepodważalne – słusznie też, Teatr Polski jako jedyny w kraju, zawsze do swego logo dodaje informację, przez kogo został założony. I słusznie – z Szyfmana może być dumny.

Przeżywał później jednak ten teatr swoje upadki i wzloty (niestety, te raczej rzadziej), obecnie dyktuje w nim Andrzej Łapicki. Będąc znawcą i miłośnikiem Fredry, pragnie z Teatru Polskiego uczynić Dom Fredry, na kształt Domu Molière, jak mawia się o paryskiej Comédie Française. Swoją, niedługą jeszcze dykcję zaznaczył już trzema Fredrowskimi premierami: po „Dożywociu” i „Mężu i żonie” wystawił teraz „Zemstę” w swojej reżyserii, i myślę, że z tych trzech jego inscenizacji właśnie ta jest najbardziej udana: obejrzelśmy zgrabne, doskonale poprowadzone i świetnie zagrane przedstawienie. Tradycyjne, to prawda, za to skupione na słowie, pełne troski o to, by

mówiono Fredrowski wiersz tak jak go trzeba mówić i aby nic, lub przynajmniej prawie nic, z cudownego, najpiękniejszego w polskim komediopisarstwie dialogu nie ginęło w inscenizacyjnych łamańcach i nieudolnej dykcji.

Jak każdy Polak w – powiedzmy łągodnie – średnim wieku, naprzytyłem się już na rozmaite „Zemsty” i rozmaitych aktorów. Widywałem sporo Cześników – od Kurakowicza po Świdierskiego, sporo Rejentów – od Kazimierza Opalińskiego po Gustawa Holoubka, Dyndalskich – od Solskiego po Opanię, no i sporo Papkinów: Jerzego Leszczyńskiego, Woszczercowicza, Gołasa, Pszoniaka, Łomnickiego... Nie można jednak ulegać zbyt łatwej pokusie porównań, zwłaszcza że czas często odmienia właściwe doznania, trzeba po prostu odbierać wrażenia na gorąco, w oderwaniu od złudnych niekiedy wspomnień.

Tak też patrzyłem na tę nową „Zemstę” i – co zobaczyłem? Obecna obsada ma co najmniej jedną rolę prawdziwie wybitną, na pewno godną odnotowania we fredrowskich kronikach: to Rejent Ignacego Gogolewskiego. Świetnie zarysowana postać, znakomicie mówiony wiersz, nieskazitelna dykcja, idealne modulowanie głosu... Po pamiętnym Twardoszu w „Dożywociu” to już druga w ostatnich latach znakomita fredrowska rola Gogolewskiego. Pełną uroku i wdzięku, bardzo atrakcyjną Podstoliną jest Grażyna Barszczewska – to również jedna z jej najlepszych ról w ostatnim okresie, bardzo dobrym Papkinem (choć niepotrzebnie przesadnie szarżującym w piosence o kocie) jest Damian Damiński, a stonowanym, pełnym dystansu do otaczających go afer, wybornym Dyndalskim – Wiesław Michnikowski. Sądę natomiast, że obsadą pomyłką było powierzenie roli Cześnika Danielowi Olbrych-

skiemu. Widać, że mimo najlepszych chęci nie czuje się dobrze ani w komedii, ani we Fredrowskim wierszu.

„Zemstę” wystawił Teatr Polski na swoje 85-lecie. Na premierze bardzo było uroczysto i sympatycznie... podobno. Podobno, bo nie mogłem, niestety, być na jubileuszowej gali, jako że tego wieczora wręczałem Superwiktory gwiazdom telewizji. Tam zresztą też było uroczysto i sympatycznie, zwłaszcza że wśród tych, którzy otrzymali złote statuetki (takie polskie Oscary – jak przyjęło się je określać), znalazło się paru moich faworytów, których jako członek kapituły również ja typowałem. Choćby Iwona Schymalla – wybrana przez publiczność (i przeze mnie; uosobienie kultury i czaru osobistego), choćby Krystyna Zubówna (już chyba po raz trzeci zasłużenie odbierająca Wiktora) czy Wojciech Młynarski (nareszcie! Należało mu się to już dawno!)...

A w ogóle, to sądzę, że nasza tv, cokolwiek by o niej mówić, wylansowała na swych ekranach parę osobowości z prawdziwego zdarzenia; indywidualności, które widzowie cenią, lubią, do których mają zaufanie.

Co do mnie natomiast, to zaufanie mam przede wszystkim do sprawdzonych dzieł i sprawdzonych nazwisk, dlatego też bez obaw poszedłem do Teatru Narodowego na „Semiramidę”. I nie żałowałem.

Teatr Narodowy przeżywa kolejny „kryzys gabinetowy”. Nowa pani minister kultury, Joanna Wnuk-Nazarowa, zdecydowała o rozdzieleniu scen opery i dramatu, czyli tego, co z inicjatywy ministra Dejmkę żmudnie przez parę lat usiłowano połączyć. W związku z tymi zmianami zawieszony został dyrektor generalny całości, Janusz Pietkiewicz, a jego funkcję przejął doskonale z Narodową sceną obznajomiony dyrektor Jerzy Bojar, który ma się tym rozdziałem zająć. Na razie jednak realizowane są jeszcze plany dawnej dykcji: na scenie dramatycznej wystawiono „Saragossę” Tadeusza Bradeckiego (o czym w następnym Kurierze), a na operowej – „Semiramidę” Gioacchina Rossiniego.

„Semiramida”, której premiera odbyła się w Wenecji 175 lat temu, była ostatnim dziełem Rossiniego

napisanym w ojczyźnie (przed wyjazdem do Paryża) i... ostatnią deską ratunku, po klęsce – zwłaszcza finansowej! – jaką wcześniej poniosło wznowienie jego opery „Mahomet II”. Na szczęście „Semiramida” osiągnęła spory sukces; nie od razu co prawda, bo była na to zbyt długa, lecz gdy tylko Rossini zdecydował się na skróty, przyjmowano ją już owacyjnie. Wprawdzie libretto, oparte na tragedii Woltera stanowiącej – zdaniem niektórych – popłatanie mitu Orestesa z tragedią Hamleta, nie jest ani logiczne, ani przejrzyste, ale nie libretto jest tu ważne, lecz partytura dająca wspaniałe pole do popisu dwóm solistkom: sopranowi i altowi. Aby się jednak w tej operze istotnie popisać, głosy trzeba mieć wspaniałe, stąd też „Semiramida” nieczęsto trafia na sceny.

W ostatnich dziesięcioleciach do legendy przeszła rewelacyjna para: Marilyn Horne (Arsace) i Joan Sutherland (Semiramida), w Polsce natomiast operę wystawiono przed paru laty w Poznaniu, z Ewą Podleś i Agnieszką Kurowską. Poznański spektakl zszedł jednak niespodziewanie szybko z afisza, natomiast teraz poproszono obie świetne śpiewaczki, aby powtórzyły swe kreacje w Warszawie.

Zapowiadane wcześniej „inscenizowane wykonanie koncertowe”, przemieniono tanim kosztem w normalny spektakl operowy. Niewielką, ale ze smakiem ukształtowaną, funkcjonalną scenografię zbudowano z elementów dekoracji do „Nabucca” bodajże, kostiumy dobrano również z teatralnych magazynów, o pewne sugestie inscenizacyjno-reżyserskie poproszono choreografa, Emila Wesołowskiego, operowano odpowiednio światłami... Wyszło to skromnie, rzecz jasna, niemniej – jak się to mówi – gustownie. I wystarczy. Przynajmniej jeśli idzie o mnie. Nareszcie bowiem nie byłem w operze przytłoczony nadmiarem inwencji inscenizatora i rozmachem scenografii utrudniającej życie śpiewakom, a w konsekwencji i słuchaczom, do których z trudem docierały głosy wydobywane gdzieś z dalekich zakamarków gigantycznej sceny. Na-

reszcie mogłem spokojnie wysłuchać bardzo pięknej muzyki w bardzo pięknym wykonaniu.

Oczywiście, orkiestra przygotowana przez Grzegorza Nowaka mogłaby grać dokładniej i sprawniej, oczywiście – w partii Assura, tak ważnej dla przebiegu akcji, można by może obsadzić barytona z prawdziwego zdarzenia, ale przecież „Semiramida” to przede wszystkim pojedynk dwu głosów kobiecych, a te stanęły na wysokości zadania. A może nawet nieco powyżej!

Ewa Podleś – wiadomo. Nasza wielka gwiazda, obdarzona głosem niebywale pięknym, o barwie jakiej próżno by szukać na najbardziej prestiżowych scenach świata, śpiewająca z idealnym wyczuciem stylu, stwarzająca na scenie wyrazistą, wywierającą mocne wrażenie postać. Nad podziw doskonałą partnerkę znalazła Podleś w osobie Agnieszki Kurowskiej śpiewającej partię tytułową. Solistka Warszawskiej Opery Kameralnej bodaj debiutowała dopiero w Teatrze Narodowym, udowadniając, że i na tak wielkiej, trudnej dla śpiewaków scenie potrafi się świetnie odnaleźć. Wspecjalizowana w partiach belcanta zachwycała pięknym frazowaniem i brawurą koloratury, idealnie współpracowała z Podleś w efektownych duetach. Dawno, bardzo dawno nie słyszeliśmy w Warszawie dwu śpiewaczek tej klasy w jednym spektaklu, na jednym wieczorze.

Z mężczyzn oklaski zbierał przede wszystkim Leszek Świdziński w partii króla Hindusów, Idrena; jako arcykapłana, z satysfakcją słuchaliśmy Mieczysława Miluna. W sumie zatem był to wieczór wielkich, pięknych przeżyć; szkoda, że i w Warszawie „Semiramida” zaledwie po dwu entuzjastycznie przyjętych spektaklach zeszła z afisza – głównie ze względu na zagraniczne zobowiązania Ewy Podleś. Miejmy jednak nadzieję, że gdy pani Ewa znajdzie jakieś wolne terminy, to będzie można jej jeszcze w „Semiramidzie” posłuchać. Partia Arsace jest przecież jakby specjalnie dla niej, przez Rossiniego, pisana...

LUCJAN KYDRYŃSKI

Ignacy Gogolewski (Rejent) i Damian Damiński (Papkin) w „Zemście” w Teatrze Polskim. Fot. S. Okołowicz

